

Już chyba nie boli (glossa)

Zawsze muszę się chwilę zastanowić, kiedy słyszę lub czytam: Ukraina zachodnia, Ukraina wschodnia. Ze Lwowa do Tarnopola, Stanisławowa, Łucka i w Czarnohorę jechało się na wschód. A w Bieszczady na zachód. Zmiana kierunków bolała wygnanych na drugi kraniec ojczyzny – jak ja do Wrocławia.

Z wielką satysfakcją przeczytałam w 13 numerze PAUzy artykuł prof. Jacka Purchli o polsko-ukraińskim dialogu i owocnej współpracy. Na dziennikarską miarę inicjowałam taki dialog na antenie Programu dla Zagranicy Polskiego Radia w latach 1990. Zostało mi po tym kilkanaście pocztówek od słuchaczy, z przewagą, niestety, głosów żalu i zdziwienia: jak ktoś urodzony we Lwowie może pragnąć pojednania z Ukraińcami? Pojawiło się nawet słowo: zdrada. Zabolało. Jakie to już odległe!

Oglądając zdjęcia, które moja wnuczka zrobiła na Ukrainie – w Karpatach – słuchałam o tym, jak serdecznie ich czteroosobową grupę przyjmowali mieszkańcy wioski, m.in. Żabiego, gdzie jej prababka prowadziła, prawie wiek temu, obóz harcerski, kiedy studiowała medycynę na Uniwersytecie Jana Kazimierza i była komendantką lwowskiej chorągwi. O urodzie Prutu i Czeremoszu dowiedziałam się od niej, mojej mamy, zanim przeczytałam wyznanie Czesława Miłosza uczynione Stanisławowi Vinzenzowi, że kto raz słyszał szum tych rzek – nie zapomni, choćby był zgrzybiały, ślepy i głuchy. To też nie boli, odkąd na Huculszczyznę jeżdżą polscy studenci.

Czterdzieści lat temu opuściłam Wrocław, moje drugie rodzinne miasto, dokąd po wojnie przeniosły się duże "kawałki" Lwowa – w osobach mieszkańców (choć lwowskiej inteligencji było tylko kilkanaście procent ogółu wrocławskich pionierów), w instytucjach takich jak Ossolineum, w stylu ludzkich kontaktów, w naleciałościach językowych.

W Warszawie moją „rusińską” babką z Gródka Jagiellońskiego mogłam się chwalić, bo to brzmiało egzotyycznie, a nie wywoływało grymasu niechęci.

Dwa razy, w latach 80., odwiedziłam Oleśkę, najserdeczniejszą nianię, gosposię, kucharkę wychowawczynię, o twarzy z ikony, tylko zawsze roześmianej. Wojenne losy zagnały ją aż na pogranicze Anglii i Szkocji, gdzie stała się katoliczką, gdyż cerkwi greckokatolickiej tam nie było, i żyła pośród Anglików ogólnie lubiana i szanowana. Wspominałyśmy, a właściwie Olesia opowiadała mi o moim dzieciństwie. O tym, gdy wkroczyli do Lwowa sowioci, stała na balkonie wykrzykując: *Wy swołocz parszywa, po coście przyszli?* Na pewno poszłyby na Plac Niepodległości, choć nogi wcześniej zaczęły jej dokuczać.

Maleńką niebiesko-żółtą wstążeczkę, a na niej odznakę tryzuba miał w kłapie ukraiński gość z Paryża, redaktor emigracyjnego pisma *Suczasnosc*, z którym rozmowę nagrywałam w roku 1991. Pomyślałam sobie: Czemu ja spostrzegam takie rzeczy w półmroku studia? I kiedy przestaną?

Pojechałam służbowo do Lwowa w 1993 r., pierwszy raz po opuszczeniu rodzinnego miasta pół wieku wcześniej. Zrobiliśmy później, wspólnie z tamtejszą rozgłośnią, audycję-mość nadaną na żywo z... Wrocławia. O Polakach we Lwowie i o kiepskiej (wówczas) doli polskich placówek kulturalnych. Uścisk ręki – z rezerwą po obu stronach.

Wrocławskie studia przesiedziałam nad lekturami w czytelni Ossolineum, pośród jego lwowskich pracowników.

Z Warszawy jeżdżę tam po wiadomości o losach zbiorów, wprost do źródła, czyli dyrektora Adolfa Juzwenki. Od kilku lat, wiadomości są dobre: podpisana umowa o współpracy z biblioteką im. Wasyla Stefanyka, czyli lwowską częścią Ossolineum, perspektywa scalenia zbiorów przez ich nowoczesne skopiowanie, wreszcie filia Zakładu Narodowego we Lwowie.

Od dawna wiem, że moje wnuki dożyją czasu, kiedy dziejowa chwila pojednania polsko-ukraińskiego stanie się przeszłością, uczoną na lekcjach historii w szkole. Nie może to znaczyć zapomnienia o krzywdach doznanych, o winach popełnionych, ale wybaczenie i ufność, że się nie powtórzą. Jednemu i drugiemu – w płaszczyźnie społecznej i w społecznej skali – potrzebne są symboliczne gesty, jakich politycy obu krajów skąpią. I bez nich wszakże proces zbliżenia postępuje. Jest głównie udziałem elit intelektualnych, ale to one wyprzedzają bieg dziejów i nadają mu kierunek.

Warto przyglądać się wspólnej historii w perspektywie długiego trwania, gdyż ułatwia to rozróżnianie między tym, co już stało się przeszłością i tym, co jeszcze się dzieje. Pomaga uwalniać się od fobii oraz odruchów wywoływanych przez – uciekające wstecz – wspomnienia.

MAGDALENA BAJER

Dzieła raczej mało czytane

Dostojni jubilaci mogą spodziewać się przynajmniej jeden raz w życiu, a nawet i częściej, otrzymania im dedykowanych ksiąg, stanowiących zbiór artykułów o nader różnorodnej treści. Nie jest to, niestety, jedyna wada tych publikacji. Co gorsza, objętość zamawianych artykułów bywa dość rygorystycznie określana na 6–8, rzadziej 10–12, stron maszynopisu. Otrzymałszy taką prośbę przyszy autor z zakłopotaniem myśli: *a skąd ja wezmę artykuł odpowiadający postulowanym rozmiarom?* Dość często nie mają te artykuły wiele wspólnego z tytułem całej księgi. W praktyce jej redakcje z rezygnacją przymykają oko na tę niezgodność, natomiast czytelnicy jedynie przypadkowo znajdują interesujące ich pozycje w dziełach, których karty tytułowe zapowiadają zupełnie inne treści. Stąd też wielu kolegów, przyjaciół czy uczniów jubilata poprzestaje na prośbie o wpisanie ich nazwisk na *tabula gratulatoria*.

Nikt rozsądny nie zaproponuje oczywiście wykreślenia owych ksiąg z „liturgii” uświęconej wieloletnią tradycją. Sądzę jednak, że przynajmniej części z nich należałoby nadać taką formę, jaka od dawna bywa stosowana na przykład w RFN. Tam zasadniczy zrab owych dzieł „ku czci” stanowią artykuły samego jubilata, rozproszone po różnych czasopismach. W ten sposób powstaje koherentna całość, z jednej strony bardzo przydatna autorowi, z drugiej zaś na pewno uważnie czytana przez badaczy zainteresowanych jego twórczością. We wstępie, obok wspomnianej już listy nazwisk, mogłoby znaleźć się ogólne omówienie wkładu jubilata do nauki, jak również wykaz jego najważniejszych publikacji. Wówczas ustałyby, wypowiedane po cichu, narzekania: *Ach, znowu księga ku czci*, a osoba obdarowana powiększyłaby swój dorobek o nową, niewątpliwie cenną pozycję.

Byłbym ciekaw innych wypowiedzi na ten temat.

JANUSZ TAZBIR